Baum, Marzena

Po zamknięciu klasztornej furty... : życie codzienne średniowiecznego mnicha

Obyczaje 17, 28-31

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Marzena Baum

Po zamknięciu klasztornej furty...
Życie codzienne średniowiecznego mnicha

Jeśli chodzi o dzieje zakonników, to poza śpiewem gregoriańskim, architekturą i paru zabawnymi czy groteskowymi epizodami, dla większości osób jest to terra incognita historii średniowiecznej. Jednakże na temat każdego z średniowiecznych zakonów, każdej kongregacji, szczegółów życia i dziejów tych ludzi, ich duchowości, ascezy czy nawet ubioru pisano od stuleci bardzo długie, bardzo uczone i bardzo szczegółowe komentarze. W klasztornych bibliotekach jeszcze dziś można znaleźć księgi zwyczajów, swoisty savoir-vivre zakonnego życia.

PRAWDĄ JEST, **że życie codzienne zakonników cały swój sens znajdowało (i znajduje do dziś) w modlitwie i nabożeństwach; że jest ono skoncentrowane, uporządkowane i zorganizowane według ściśle określonych pór dnia. Obok modlitwy istniała jednak jeszcze praca, posty i wyrzeczenia, drobne codzienne czynności i obowiązki, drobiazgowo obmyślane gesty.**

Wybierzmy się więc w podróż – wyprawę w przeszłość, która pokaże życie niezwykłe, biegnące według odmiennych rytmów, obowiązujących niezależnie od wszelkich zmian, dzień po dniu, godzina po godzinie...

DŁUGI DZIEŃ ZAKONNIKA

„Właśnie wybiła północ. W przeszywanym modlitwami półmroku męskie postacie w pośpiechu dążą do prezbiterium kościoła, lekko sunąc w swoich sandałach. Zaczął się długi dzień zakonnika. Będzie płynął godzina za godziną w takt „matutinum" i „laudes", primy, tercji, seksty i nony, nieszporów i komplet."

Trudno dziś dokładnie odtworzyć rozkład zajęć średniowiecznego mnicha. Plan dnia zmieniał się w zależności od zakonu, kongregacji, pory roku i okresu liturgicznego.

Powszechne były nocne, modlitewne czuwania. Zaczynały się tuż po północy, by trwać do godziny drugiej lub trzeciej nad ranem. Po krótkim odpoczynku (ok. czwartej), witano świt kolejną porcją modlitw i śpiewów.

Kto chciał w wiekach średnich wieść żywot szczególnie przykładny, musiał wstawać bardzo wcześnie, w porze, kiedy inni jeszcze spali. Zakonnicy zawsze mieli predylekcję do godzin nocnych i świtania - zmierzch uznawano za „porę podejrzaną". Święty Bernard głosił chwałę godzin czuwania, chłodnych i spokojnych, kiedy czysta i swobodna modlitwa wesoło wznosi się do ku niebu, umysł jest jasny, a cisza doskonalsza niż o każdej innej porze. Powinnością zakonników było modlić się w czasie, kiedy nie modlili się inni, głosić „*laus perennis*", osłaniając w ten sposób świat prawdziwą tarczą duchową. Zaskoczony burzą morską król francuski Filip August powiedział: „Obyśmy tylko dotrwali do jutrzni, a będziemy ocaleni, wówczas bowiem mnisi zaczynają oficjum i nas zluzują w modlitwie."

Definitywnie wstawano około godziny 5.45, wraz ze wschodem słońca. „Kto nie zrywał się z posłania na pierwszy dźwięk dzwonów – pisze św. Benedykt – popełniał grzech, z którego musiał się spowiadać podczas kapituły win." Nie mogło być mowy o powtórnym zaśnięciu. Zresztą wyznaczano mnicha, który krążył z latarnią w ręku i miał wyszukiwać tych, którzy zaspali. Jeżeli natrafił na któregoś z nich, stawiał latarnię w nogach łóżka i obudzony śpioch musiał – „by wszyscy się dowiedzieli"- wędrować po całym klasztorze z latarnią w ręce do chwili gdy, znalazł następnego winowajcę. Trzeba więc było wstawać szybko, by nie spóźnić się na jutrznię.

Główny trzon rozpoczętego dnia zajmowała modlitwa: czuwania, msze, lektura Ewangelii lub rozdziału zakonnej reguły, nieszpory, wspólne śpiewy. Zawsze też musiał znaleźć się czas na kapitułę – zebranie całej wspólnoty w celu rozpatrzenia rachunków, omówienia bieżących spraw klasztoru i rozliczenia „krnąbrnych mnichów" ze srogiej dyscypliny (tak zwana kapituła win).

ORA ET LABORA

Wczesne przedpołudnie i późne godziny popołudniowe przeznaczane były na prace. W dużej mierze była ona fizyczna – miała służyć zwalczaniu lenistwa i stanowić ćwiczenie w pokorze. Do najbardziej powszechnych zajęć zakonnych należało przepisywanie manuskryptów (kopiowanie ksiąg uważane jest wręcz za specjalność zakonników) – wbrew pozorom jedno z najcięższych zajęć w klasztorze. Wydajność pracy wynosiła trzy i pół karty dziennie. Trzeba więc było roku, żeby przepisać Biblię (ponad 1200 stron). Posłuchajmy skarg pewnego kopisty: „Zacni czytelnicy, którzy posłużycie się tą pracą, pamiętajcie proszę o tym, który ją skopiował. Uważajcie na swoje palce! Nie dotykajcie nimi mojego pisma! Nie wiecie, co to znaczy pisać! Jest to straszliwa harówka: zgina wam grzbiet, przyćmiewa wzrok, powoduje ból w żołądku i w żebrach... Módlcie się za biednego Raula..."

Równie powszechnym zajęciem była produkcja wina. To właśnie manastycyzm na powrót rozpowszechnił w Europie, po wielkich najazdach barbarzyńskich, uprawę winnej latorośli, którą wprowadzał wszędzie, gdzie pozwalały na to warunki klimatyczne. Prawie każdy zakon posiadał swą winnicę. Nie bez racji też mnisi zostali nazwani „ojcami winnej latorośli", a wino stało się jednym z podstawowych składników codziennego, zakonnego posiłku. Podstawowym do tego stopnia, że nieumiarkowanie mnichów w spożywaniu win było od wieków tematem żartów, częściej dobrodusznych niż złośliwych. Powszechnie znany wierszyk głosił:

Kapucyn ledwie gustuje w napitku,
Celestyn tęgą przechyli szklanicę,
Jakobin kufel za kuflem wysącza,
Lecz franciszkanin opróżni piwnicę.

Mnisi trudnili się również nauczaniem, pracą na dworach książęcych bądź biskupich, uprawą roli. Dobroczynnej działalności zakonów średniowieczne społeczeństwo zawdzięcza istnienie przytułków, szpitali, wszelkiej opieki społecznej. Widzimy ich także przy pracach nie mających nic wspólnego z zakonną egzystencją – przy wydobyciu węgla, torfu, ołowiu, w zakładaniu cegielni i młynów. Kartuzi i cystersi specjalizowali się nawet w produkcji witraży i wyrobów ze szkła.

Po pracy – chwila relaksu. Wszystkie dawne reguły pozwalały na popołudniową drzemkę. To ustępstwo tłumaczono krótkością klasztornej nocy, trudami nocnego czuwania, zmęczeniem pracą. Przeciętna drzemka trwała około jednej godziny. Dozwolone były również, w ramach wypoczynku, przechadzki po lesie, „kiedy daje się we znaki zmęczenie oczu, ból głowy, czy też przykre napięcie i koniecznie należy się jakoś rozerwać(!)" Wszelkie gry były surowo zabronione – zwłaszcza w czasie rekreacji. Nie pozwalano nawet na grę w szachy, a już gra w kości zaliczana była do występków zasługujących na ekskomunikę.

Specyficzną cechą życia zakonnego, która dziś może zadziwiać, była pora posiłków. Nie spożywano ich przed dwunastą w południe. Dla ludzi, którzy od drugiej w nocy byli na nogach było to bardzo uciążliwe. W rozkładzie dnia figurowały tylko dwa posiłki: obiad (prandium) w południe oraz lekka kolacja (cena), którą spożywano pomiędzy godziną 17 a 18. W przypadku dni postnych, które zdarzały się co najmniej trzy razy w tygodniu, jedynym posiłkiem dnia był obiad.

Na spoczynek udawano się wieczorem około godziny 19. Średnia czasu przeznaczonego na sen sięgała więc około 6 i pół godziny na dobę.

Kopista. Miniatura. Cantorbéry, poł. XII w.

Nietrudno się zorientować, że życie zakonnika od chwili przebudzenia do godziny spoczynku było z niesłychaną dokładnością zorganizowane, przemyślane i zaprogramowane. Najdrobniejsze fakty życia codziennego, sposób, w jaki należało pozdrowić opata, przyjmować chleb, trzymać dzbanek, zostały punkt po punkcie opisane w księgach zwyczajów. Ale to bogactwo szczegółów nie powinno przysłaniać nam prawdy, że życia zakonnego nie zorganizowano po to, aby „zbierać siano, rozdawać jałmużnę czy też przepisywać manuskrypty", lecz wyłącznie, aby się modlić. Istotnie powiedzieć „modlili się", znaczyłoby streścić egzystencję tych tysięcy ludzi, którzy w każdym stuleciu poddawali się coraz surowszym rygorom w jednym tylko celu: by życie swe poświęcić Bogu. Post i wyrzeczenia, wstawanie w nocy, przerywanie snu, obowiązek posłuszeństwa i dochowania ślubu czystości, praca – wszystko było modlitwą w życiu prawdziwych *Rycerzy Chrystusa*.

MILCZENIE I MOWA ZNAKÓW

Rzadko można znaleźć reguły czy też zbiory zwyczajów, w których nie byłoby rozdziału poświęconego milczeniu. Pragnienie ciszy i chęć zapewnienia jej sobie możliwie jak najwięcej, przejawiały się na każdym kroku. Jak czytamy w księdze zwyczajów „tylko milczenie warg jest warunkiem umożliwiającym sa-

bat serca, albowiem milczeniem karmią się wszystkie cnoty."

Milczenia wymagano przede wszystkim w kościele, refektarzu (miejsce spożywania posiłków), dormitorium (miejsce snu, wspólne dla wszystkich zakonników) i wirydarzu (dziedziniec przyklasztorny z ogrodem, gdzie odbywały się główne czynności wspólnoty, rozdział pracy, procesje). Po komplecie zapadało już wielkie milczenie, które jeszcze dzisiaj należy do najbardziej przejmujących momentów zakonnego życia.

Działanie wspólnoty wymaga jednak wymiany słów. Jak sobie radzono? By nie przekraczać zakazu milczenia, posługiwano się drewnianymi tabliczkami pociągniętymi woskiem, które zakonnicy nosili u pasa. Często stosowano też mowę znaków – słowa „pisane" palcami, których symbolizm dziś wywołuje uśmiech. Oto parę przykładów: mleko – mnich wkładał mały palec w usta tak jakby to zrobił mały chłopiec. Chleb zwyczajny – kreśli się kółko kciukiem i dwoma przylegającymi palcami. Inne znaki pozwalały odróżnić chleb żytni od owsianego i pszennego, a także wino zaprawione korzeniami od zaprawionego miodem oraz białe od czerwonego. Mowa znaków nie była wszędzie taka sama. Symbole stosowane w jednym klasztorze były „językiem obcym" dla zakonników klasztoru sąsiedniego. Porozumiewanie się za pomocą rąk intrygowało niezmiernie ludzi świeckich.

PIRAMIDA SAMOZAPARCIA

Wiara średniowiecznych zakonników bardzo często prowadziła do pobożnych ekstrawagancji, do praktyk na modłę derwiszów, do postępków, w których nie brak nawet pewnego masochizmu. Czas spędzony w klasztorze to okres wielkiego duchowego wyciszenia, głębokiej pokory, modlitw i surowych ascetycznych praktyk. Wiele rodzajów umartwień indywidualnych bądź zbiorowych narzucanych przez regułę i obyczaj dziś uznaje się wręcz za niepokojące. A przykłady dawane przez zagorzałych ascetów, mimo że heroiczne, a może właśnie dlatego, nie zawsze były zalecane.

Pomińmy ustawiczne posty, cierniowe krzewy i rozżarzone węgle, po których tarzano się, aby „zwalczać" namiętności. Nie mówmy o odmawianiu z rozkrzyżowanymi ramionami całego psałterza, „modlitwie na gołych kolanach prawie nieustannej", czy ostrej chłoście, od której „ciało aczkolwiek niewinne, zranione i skatowane nieraz zemdlone bywało". Praktyki powyższe były tak powszechne, że często wręcz przewidziane regułą.

Cóż jednak powiedzieć o „ascezie w sensie psychicznym"? O wykopanym grobie, do którego codziennie, po tercji, opat i mnisi rzucali garstkę ziemi, aby żywiej uprzytomnić sobie realność śmierci? Albo o trumnie ustawionej w tym samym celu przy wejściu do kościoła? Cóż sądzić o wrzącym wosku, który „kropla po kropli opuszczano na ciało, aby przywołać na pamięć cierpienia Syna Bożego, jakich doznał w czasie męki"? Od kropel stopionego wosku do Golgoty – musimy przyznać - droga daleka. Najważniejszą rzeczą jest tutaj stwierdzenie, do jakich praktyk mogło doprowadzić ludzi tak powszechne przecież w średniowieczu zamiłowanie do „rekordów umartwienia".

Motyw ostrej ascezy splata się w księgach zwyczajów z aktami świadczącymi o heroicznej pokorze zakonników. Dla przykładu: w klasztorach wolombrozjanów nowicjusze czyścili chlewy, nie używając łopaty, gołymi rękami.

Zadziwiające jest jednak to, że tym wszystkim przejawom surowej pokuty i ascezy towarzyszy głęboka pogoda ducha. To nie jest asceza ponura, dochodzi w niej do głosu radość z fizycznych cierpień - radość z możliwości naśladowania Chrystusa!

Tak płyną godziny dnia a dni zmieniają się, zależnie od pory roku. Zostać mnichem to wyrzec się rytmów ziemskiego czasu, żyć w specyficznym zawieszeniu, gdzie każda chwila podporządkowana jest klasztornej sentencji *memento mori*.

W CENNEJ GODZINIE ŚMIERCI

Stare księgi zwyczajów ściśle wyznaczają reguły postępowania w chwili śmierci zakonnika. Współbracia umierającego mieli obowiązek rozciągnąć na ziemi albo na słomie włosienicę, popiołem naznaczyć na niej znak krzyża i dopiero wówczas ułożyć chorego. Spowiedzi wysłuchiwał sam przeor bądź opat. Chory prosił wszystkich współbraci o wybaczenie grzechów, które popełnił przeciwko Bogu i przeciwko nim, po czym w obecności zgromadzonych, wpatrzony w krucyfiks, przyjmował komunię pod dwoma postaciami.

Po śmierci myto ciało gorącą wodą w infirmerii (klasztorna izba chorych), na specjalnie przeznaczonym do tego kamieniu. Trud ten zastrzeżony był dla zakonników tej samej rangi, co zmarły: tak więc kapłana myli kapłani, konwersa – współbracia. (Kapłani musieli się potem wykąpać, by znowu móc odprawiać mszę.)

Splecione dłonie zmarłego wsuwano pod szkaplerz, który zszywano po bokach, kaptur opuszczano na twarz. Tak samo postępowano z obuwiem i pończochami, żadna część odzienia nie mogła leżeć luźno. Ciało zmarłego okadzano i skrapiano wodą święconą. Zwłoki obowiązkowo musieli nieść do kościoła ci,

którzy je myli. Wszyscy bracia gromadzili się wokół trumny – w tych zakonach zaś, gdzie jej nie używano, wokół deski, na której układano zmarłego. Zapalano dwa świeczniki – jeden przy głowie (gdzie też umieszczano krzyż), drugi w nogach. Od tej chwili cała wspólnota czuwała aż do pogrzebu przy trumnie, z wyjątkiem godzin nabożeństwa, kapituły, posiłków i snu – jeden z braci jednak czuwał stale. Następnie zakonnicy składali ciało w ziemi, odmawiając przy tym wszelakie modlitwy, litania i psalmy, zgodne z bardzo drobiazgową liturgią. Nie było mowy o kwiatach. Tam, gdzie reguła nie przewidywała pochówku w trumnie, zwłoki kładziono wprost na ziemi lub pod drewnianą przykrywą. Przełożony jako pierwszy rzucał trzy łopaty ziemi, po czym robili to inni przy wtórze modłów i śpiewu *aż ziemia całkowicie osłoni ciało*. Po ceremonii wszyscy wracali do klasztoru, gdzie zdejmowali z siebie uroczyste, białe szaty. Gasły świece, cichły dzwony...

Istniał zwyczaj, by prowiant (praebende) przynależny zmarłemu dzielono przez następny rok pomiędzy ubogich, tych „odźwiernych nieba" jak ich nazywał św. Odon. Przez trzydzieści dni zakonnicy wspólnie odprawiali śpiewane nabożeństwo za zmarłego oraz poświęcali mu siedem kolejnych mszy. W zakonach o szczególnie zaostrzonej regule (np. awellonów) po śmierci mnicha, każdy z braci zobowiązany był trwać tydzień o chlebie i wodzie, wymierzyć sobie siedem dyscyplin po tysiąc uderzeń każda, wykonać siedemset głębokich pokłonów i trzydziestokrotnie odmówić psałterz. Jeżeli zmarły nie zdążył zakończyć swoich ćwiczeń pobożnych, pozostali przy życiu rozdzielali pomiędzy siebie to, co należało jeszcze zrobić albo odmówić.

W każdym zakonie wiadomość o śmierci przekazywano wszystkim klasztorom w prowincji. Aby nie mnożyć zawiadomień, jako że pergamin był kosztowny, poprzestawano na wypisywaniu wieści i polecano jednemu z ojców, aby wędrował od klasztoru do klasztoru okazując dokument. Każdy klasztor składał kondolencje, wpisując jakąś pobożną myśl albo stereotypową formułkę na temat zmarłego, czasem „cukierkowy" wiersz ku jego czci. Dodawane jedne do drugich kondolencje tworzyły w końcu rulon, nazywany rulonem zmarłych, który osiągał czasem ponad dwadzieścia metrów długości.

ANIELSCY MNISI – ZIEMSCY LUDZIE

Jak więc się przekonaliśmy, życie codzienne zakonnika nie jest wcale codzienne w sensie banalności, czy też monotonii. Jest to życie dramatyczne, intensywnie odczuwane i przeżywane w nieustannie zmieniających się rytmach roku liturgicznego. W przeciwieństwie do tego, co sądzi się na ogół, trudno o coś dalszego od rutyny w życiu przeciętnego zakonnika. Jest ono tak różnorodne, jak różni są ludzie tworzący wspólnotę, a klasztor siłą rzeczy zawiera ogromną rozmaitość ludzkich typów. Najbardziej dobitnie świadczy o tym fragment z listu pewnego dominikanina:

Opactwo przyrównać można do orkiestry, bo jest tam wszystko: skrzypce, które grają zgodnie, i instrumenty dęte, które wkraczają, nie bacząc na inne; jest saksofon a w kąciku człowieczek z trianglem, na którego widok zastanawiamy się, do czego też może służyć...W opactwie znajdziesz lenia, zrzędę, rygorystę, trzpiota, pobożnisia, człowieka „do wszystkiego", którego inni wykorzystują, naprawiacza świata, entuzjastę (jest trochę naiwny, a czasem nawet niemądry, ale sympatyczny), a wreszcie melancholika. Trafi się zakonnik w tarapatach (mniej lub bardziej apatyczny), jest gderacz, niestrudzenie usłużny; jest człowiek bardzo oddany i całkowicie nieudolny, który martwi się, że nikt nie prosi go o pomoc. Jest niepoprawny maruda i mnich popędliwy, który wpada w złość i zaraz tego żałuje; są tacy, co się dąsają, i tacy, których nikt nie chce wysłuchać, a wśród panującej ciszy przemyka Duch Ciemności, aby szepnąć, że ojciec X żywi do ciebie urazę; jest wreszcie taki, który oburzając się na wszystko co wynika z norm, zbyt jawnie to okazuje, i taki, który (w zacnej intencji) zagarnia narzędzia albo księgę na swój wyłączny użytek; jest i bałaganiarz, który nic nie kładzie na właściwym miejscu.

Kroniki i księgi zwyczajów wyraźnie świadczą, że i najlepsi mają swoje słabości i że życie duchowe nie zawsze płynie równie szerokim strumieniem, codziennie i przez całe stulecia nawet w najbardziej wymagających opactwach, nawet u świętych ludzi, jakimi są zakonnicy...

Ogólnie jednak biorąc, przy swoich wzlotach i upadkach, przy ciężkim często brzemieniu, jakim jest wspólne życie i stałe przestrzeganie reguły, egzystencja zakonnika była i jest jedną, wielką i pełną radością. „W ciągu dwóch tygodni nie przyłapałem ani jednego mnicha na zbrodni smutku" – pisze pewien francuski kupiec. I dalej „Nigdy nie spotkałem chłopaków weselszych, bezpośredniejszych, mniej samotnych niż ci samotnicy w swoich celach. Wszędzie widziałem radość szlachetnej próby, stałe poszanowanie człowieka, prawdziwie ludzką serdeczność."

A czyż to nie byłaby wielka ulga, spotykać ludzi od rana uprzejmych i uśmiechniętych, którzy nie czują się zobowiązani, jak tylu naszych znajomych, już przy pierwszym śniadaniu narzekać na cały świat... ■

Marzena Baum
jest historykiem, doktorantką w Instytucie Historii KUL